

LISTY
DO REDAKTORÓW
„WIADOMOŚCI”

ARCHIWUM EMIGRACJI

LIV

ŹRÓDŁA I MATERIAŁY DO DZIEJÓW
EMIGRACJI POLSKIEJ PO 1939 ROKU

SERIA

DOKUMENTACJA ŻYCIA LITERACKIEGO
KRĘGU LONDYŃSKICH „WIADOMOŚCI” (1945–1981)

pod red. Wacława Lewandowskiego

Tom 10

MARIAN HEMAR



LISTY
DO MIECZYŚŁAWA
GRYDZEWSKIEGO

opracował

Wacław Lewandowski

konsultacja edytorska

Beata Dorosz



Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika
Toruń 2015

Opracowanie wydawnicze
Ewelina Gajewska

Projekt okładki
Tomasz Jaroszewski

Na okładce wykorzystano *Szkic do portretu Mieczysława Grydzewskiego*
autorstwa Feliksa Topolskiego.

Publikacja finansowana w ramach programu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego pod nazwą „Narodowy Program Rozwoju Humanistyki” w latach 2012–2014, na podstawie decyzji Nr 0067/FNiTP/H11/80/2011 z dnia 5.12.2011 r.



**NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI**

ISBN 978-83-231-3429-9

Printed in Poland
© Copyright by Wydawnictwo Naukowe
Uniwersytetu Mikołaja Kopernika
Toruń 2015

**WYDAWNICTWO NAUKOWE
UNIwersytetu MIKOŁAJA KOPERNIKA**

REDAKCJA: ul. Gagarina 5, 87-100 Toruń
tel. 56 611 42 95, fax 56 611 47 05
e-mail: wydawnictwo@umk.pl
DYSTRYBUCJA: ul. Mickiewicza 2/4, 87-100 Toruń
tel./fax 56 611 42 38
e-mail: books@umk.pl
www.wydawnictwoumk.pl

Wydanie pierwsze
Druk: Drukarnia Wydawnictwa Naukowego UMK
ul. Gagarina 5, 87-100 Toruń
Oprawa: Drukarnia Abedik Sp. z o.o.
ul. Glinki 84, 85-861 Bydgoszcz

ZAMIAST WSTĘPU

Juliusz Sakoński

LUTNISTA WIELOSTRUNNY (Fragmenty)*

*Bo Polacy to mają przekonanie
 płone,
 Że co zabawne – błabe.
 Co nudne – uczone.
(Ignacy Krasicki)*

W jednoaktówce *Fraszkopis*, wydanej w r. 1954 i chyba już wyczerpanej, jak tyle innych książek Hemara, czar uśmiechniętej poezji roztacza się wszystkimi blaskami mowy polskiej w kilku przytoczonych fraszkach Krasickiego, tych arcydziełach zwięzłości i dowcipu, przeplatanych i spinanych nie mniej cennymi wierszami Hemara, dostrojonymi do wywołanej przez niego dawności. W dialogu biskupa-sybaryty z wytwornie zalotną panią Rajecką, damą swawolną i światową, jest szczypta goryczy Hemara o losie satyryka i humorysty, spychanego przez prymat uduchowionego pustostłowa. Gorycz to trochę przesadzona i bardziej na pokaz niż serio, bo coś niecoś się zmieniło od czasów, gdy szanująca się twórczość, żeby zasłużyć na to miano, musiała być wzniosła, szumna, koturnowa. Dziś otrząsamy się z tych raczej „młodopolskich” niż staropolskich przesądów i nawyków.

Co prawda, dopiero po ukazaniu się przekładu sonetów Szekspira, Hemar przestał być uważany za mistrza jedynie wagi piórkowej. Udostojnionemu wyższą rangą, wtedy dopiero sypnęły się na niego nagrody, których mu dotąd skąpiono, a twórczość jego podniosła się o rzekomo brakujący jej szczebel, by uchodzić wreszcie za zachwalaną, zalecaną, nagradzaną. Jak gdyby decydowała o tym powaga zamierzeń i waga (ciężka!) dokonań, a nie wdzięk, dowcip, lekkość, pogoda, tak cenne i rzadkie dary, które podnoszą nam smak literatury, nic nie ujmując z jej poziomu. Okazuje się, że nie wystarczy do pełni nimbu być Krasickim naszej emigracji, trzeba jeszcze być – godniej i zaszczytniej – jej Miriamem czy Porębowiczem.

Z czasem po *Fraszkopisie* powstały trzy dalsze jednoaktówki Hemara, również pisane wierszem, o Kochanowskim, Fredrze, Chopinie: przygotowywał jeszcze jedną: o Norwidzie. Jak widać więc, w zamierzeniach swych sięgał wysoko, a w wykonaniu ich też nie zawodził. Gdy dziś myśli się o jego twórczości, która tak zdumiewająco i w rojnej nad podziw obfitości rozrosła się na emigracji, uderza rozpiętość, bujność, różnorodność; w tej twórczości rozwijającej się na pozór bez wysiłku, od niechcenia, mieszczą się wszystkie możliwe rodzaje: satyry i fraszki, parodie i parafrazy, piosenki, wiersze liryczne, przekłady poetyckie, teatr – od dramatu do komedii muzycznej, a w prozie: reportaż, felieton, esej, krytyka literacka, nawet traktat polityczny (książeczka o Hitlerze, przełożona na angielski). Pisarz wszechstronnie płodny, w tylu odmiennych rodzajach, to unikat w literaturze, fenomen nawet w skali światowej.

Mimo poczytności, której mógł mu zazdrościć każdy autor na emigracji, mimo sukcesów w teatrze i w objazdach autorskich po świecie, miał poczucie, że traktowany

jest poniżej swej miary i wciąż jako pisarz lżejszego kalibru. Nie wystarczało mu uznane mistrzostwo w tym rodzaju, w którym zabłysnął za młodu, a w którym później nikt nie mógł go już prześcignąć i nawet z nim współzawodniczyć, nie wystarczało mu być Krasickim emigracji, chciał być jej bardem, chciał przede wszystkim uznania jako poeta liryczny. Jakże bolało go przemilczenie w „The History of Polish Literature” Miłosza, ledwie wzmianeczka w literaturze Terleckiego, brak jego nazwiska w antologii Pietrkiewicza! [...]

W polemice wyżywał się i używał sobie na całego. Z pośledniejszą miernotą rozprawiał się lekkim sztychem, ledwie pchnięciem, niemal dobrotliwie; była to zabawa i zaprawa przed ustrzeleniem grubszego zwierzka – drobne potyczki czy utarczki na przedpolu przed walną rozprawą.

W kilku wspomnieniach pośmiertnych dość zgodnie pisano, że gorzkniał z postępującą chorobą i że jego kampanie polemiczne stawały się coraz bardziej zaciekle, zapamiętałe, zacięte (za cięte?). Nie zauważyłem, by były kiedykolwiek inne, nawet wtedy, gdy cieszył się lepszym zdrowiem. Te próby pośmiertnej obrony są z gruntu chybione – a jemu uchybiają. To tak jakby tracił nie tylko miarę, ale i wszelką doręczność, trawiony chorobą. Prawda, że ostrość jego sądów nie stępsiała z wiekiem i że nie rozbroiła go choroba, ale i przedtem, dawniej, zawsze, harcował jak zawołany zagończyk, nie bacząc na bolesność swych ukłuc czy cięć. Jeśli sprawiał tym przykrość nawet bliskim lub tym, których lubił, poważał czy cenił, robił to nie z przypadkowego ferworu natarcia, ale w świadomej intencji, wierny angielskiej dewizie, że džentelmen nikomu nie robi przykrości nieумыślnie. [...] Jakże brak nam będzie tego głosu, który pobudzał i podniecał, nawet gdy

niejednego gniewał, który tępił tandetę, zadęcie, mętniactwo i nudę, zdobywał się na protest, gdy inni milczeli, i nic sobie nie robił z dostojnictwem czy posłannictwem, poronionych i urojonych. Kto nam zastąpi Hemara?

Przejmował się namiętnie, przesadnie, ponad miarę naszych możliwości i ponad ich stan, każdym niedociągnięciem w pismach emigracyjnych, każdym spektaklem nie na poziomie normalnej europejskiej sceny, gromił inscenizatorów, redaktorów i wydawców, nawet gdy był z nimi w przyjaźni i tym bardziej wtedy, potępiał recenzentów za grzecznościowe recenzje, choćby były wykrętnie powściągliwe. [...]

Z dawnymi przyjaźniami Hemara bywało różnie. Z Antonim Bormanem nie rozmawiali przez wiele lat, właściwie z dość błahego powodu, aż dopiero Wierzyński po swym przyjeździe do Londynu zmusił ich do podania sobie ręki. Dziś żaden z nich już nie żyje. Z Grydzewskim pogodzenie nastąpiło dopiero, gdy zmożony beznadziejną chorobą leżał niemal bezwładnie w zakładzie braci aleksjanów. Ale wtedy Hemar okazał mu serdeczność prawdziwie braterską. Odwiedzał go częściej niż inni, przynosząc – na przekór opinii o swym skąpstwie – kosztowne prezenty. Sam zaproponował, że opracuje zainicjowaną przez siebie książkę Grydzewskiego, co wymagało nie byle jakiego czasu i trudu. Książka miała zawierać wybór cenniejszych fragmentów z „Silva rerum” – działu, który Grydzewski prowadził w „Wiadomościach” od kilkunastu lat. Hemar znaczną część swej pracy wykonał, wybór właściwie był gotów, jeszcze tylko Grydzewski miał go przejrzeć i dać swoją zgodę. Już nie zdążył. [...]

Nie pamiętam, o co poszło Hemarowi w jego sporze z Grydzewskim, wiem tylko, że stosunki między nimi do reszty się popsuły po ogłoszeniu wyborów do tzw. emi-

gracyjnej akademii literatury, która z pierwotnie dość samozwańczej instytucji przekształciła się w jury nagrody „Wiadomości” za najwybitniejszą książkę roku. Hemar do pierwszej piętnastki wybranej w plebiscycie czytelników nie wszedł i nie mógł tego przeboleć. Podejrzał, że go świadomie utracono, choć sam nie umiał wyjaśnić, w jaki to mogło stać się sposób. Uraz trwał długo, Hemar nie tylko przestał pisać do „Wiadomości”, ale przestał je czytać i nie chciał już słyszeć o swym wyborze na wakuujące w jury miejsce. Zgodził się na taki wybór po śmierci Wierzyńskiego, ale dopiero gdy dostał zapewnienie, że będzie mógł w swym wstępnym przemówieniu powiedzieć wszystko, co mu leży na sercu czy wątrobie, co i komu ma za złe, z kim i z czym się nie zgadza, słowem: użyć sobie do woli i bez hamulców.

Wkrótce okazało się, ile wniósł do grona, w którym się znalazł, werwy, dynamiki, temperamentu; jak błysnął odczytaniem i erudycją. Jego przemówienie o Wierzyńskim, a potem o kandydatach do nagrody w ciągu 3 lat: o Guzym, Chciuku, Łysku, Trościance, były popisem swady, logiki, dowcipu – najlepszym wzorem elokwencji. Nie żadne błahe improwizacje, ale starannie przygotowane, prawdziwe mowy akademickie. Kto nam zastąpi Hemara? [...]

Hemar nie tylko utrzymał tradycje warszawskiego kabaretu literackiego, ale wyrównał jego poziom, a stało się tak właśnie dlatego, że pisał wszystko sam. Jego obrazki sceniczne, mówione czy śpiewane to ekstrakt krotoczwili, zgęszczone próbki komedii obyczajowej, skondensowane wodewile i opery-buffa. Jego piosenki nie są tylko uzupełnieniem melodii, jej bląhą kanwą. Nie ma w nich dowolności, sztucznych pauz, tanich rymów – to próbki poetyckie, nieraz o pełnej wartości.

Miał niezawodne poczucie sceny i jako reżyser tępiący szablon, banał, rutynę, stawiał aktorom wymagania, które według przeciętnych doświadczeń teatralnych mogły wydać się przesadne. Na próbach zachowywał się brutalnie: groził, krzyczał, szydził, desperacko załamywał ręce, kazał powtarzać niezliczoną ilość razy słowa i gesty „puszczone” lub niedociągnięte, dopóki przedstawienie nie zbliży się do – nigdy w jego rozumieniu nieosiągalnej – doskonałości. Karceni i gromieni aktorzy obrażali się, ale potem byli mu wdzięczni. [...]

Kilkanaście lat współpracy Hemara z Radiem Wolna Europa to nie tylko wielka karta w jego twórczości artystycznej, ale nieomal działalność misyjna i „akcja czynna”, a także glejt autorski do kraju. Bo każdy przybysz stamtąd znał wiersze Hemara. Przepisywano je, uczono się ich na pamięć, krążyły w odbitkach; wiedzieliśmy, jak ich autor, „że tam chodzą wśród ludzi, że je ktoś komuś szepce, że u kogoś w kieszeni, że u kogoś w torebce”. W kraju, skazanym na usługny szczebiot nadwornych trefnisiów, żart na komendę, satyrę z urzędu, diatryby polemiczne Hemara, płynące na falach radiowych, to była manna na pustyni. Z dala od kraju, bronił on satyry polskiej przed uwiędem, sam nie poddając się, jej nie pozwalając ginąć. [...] Nic dziwnego, że gdy w Polsce nie słyszano już jego buntem bijących satyr, gdy przestał dochodzić głos Hemara, zapytywano, dlaczego i niepokojono się, czy nie jest chory. Ale wtedy był jeszcze zdrów. Kto mógł w radio do kraju zastąpić Hemara?

Na pewno nie był człowiekiem łatwym. Miał swoje upory, ćwieki, zapamiętania, urazy, płynące głównie z urażonej ambicji. Zarzucano mu wyniosłą oschłość i nieliczenie się z żadnymi względami poza własnym interesem. To prawda, że łatwo sobie ludzi zrażał okazywanym

im zniecierpliwieniem, brakiem uprzejmości o pozorach arogancji; więcej w tym było nerwowego podniecenia niż intencji czy zadzierania nosa. Przy jego przysłowiowej niemal interesowności, jak wytłumaczyć, że wbrew swym interesom i narażając je na szwank, zadzierał z kolejnymi redaktorami wszystkich pism, z którymi współpracował, puszczając się na pisanie o nich złośliwości, wyklócając się o byle drobiazg i obstając namiętnie przy swoim zdaniu, choćby okazało się mylne? Jak wytłumaczyć że, tak zaprzątnięty sobą i obojętny na cudze sprawy, starał się dopomóc innym pisarzom, gdy znaleźli się w opresji? Nawet takim, z którymi zadzierał. On przecież, nie kto inny, pomyślał o zorganizowaniu pomocy dla Zygmunta Nowakowskiego, gdy zachorował; z jego inicjatywy i po jego apelu zaczęła się zbiórka na „Oblęgorek” dla Nowakowskiego, z którym od dawna darł koty. W podobny sposób zajął się losem Grydzewskiego. Znacznie wcześniej, przed wielu laty, zainicjował swym listem w „Dzienniku Polskim” pomoc dla chorującego wtedy Łobodowskiego. [...]

* Pierwodruk pod tytułem *Opowieść pożegnalna*, „Wiadomości” 1972, nr 22 (1365) z 28 maja; przedruk w: J. Sakowski, *Wety i odwety. Autorzy, książki, nagrody*, Paryż 1976, s. 9–22.

NOTA EDYtorsKA

Jest to kompletna edycja listów Mariana Hemara do Mieczysława Grydzewskiego, zachowanych w redakcyjnym archiwum „Wiadomości”. Listy oznaczone tutaj jako: 6, 29, 31, 33, 34, 36, 42, 44, 51, 58, 64 i 109, były już ogłoszone przez Rafała Habielskiego w tomie *Z listów do Mieczysława Grydzewskiego 1946–1966*, Londyn 1990, s. 93–105. W obecnej edycji rozszerzono komentarz do nich, a także uściślono chronologię listów niedatowanych.

W metryczkach listów pominięto zwyczajowe adnotacje Grydzewskiego na marginesach, typu: Z (załatwienie), czy: a/a (*ad acta*). Odnotowano dopiski nadzwyczajne.

Pisownię, zasadniczo, uwspółcześniono, zgodnie z obowiązującymi normami. Pozostawiono wyjątki, ukazujące specyfikę języka Hemara (jak np. konsekwentnie stosowane *komplimenty* zam. *komplementy*), odnotowano niektóre wahania ortograficzne, by ukazać drogę przejścia od „starej” do „nowej” pisowni (np. pisownia imienia: *Marian – Marian*), jak także, by ukazać znaczenie zastosowanej pisowni dla określania przybliżonej daty danego listu.

Indeks nazwisk dla całej serii edycji Dokumentacja Życia Literackiego Kręgu Londyńskich „Wiadomości” (1945–1981) ukaze się w formie odrębnego tomu.